

Błyski



W zaprzeczonym świetle

Czesław Sobkowiak to znany zielonogórski poeta, prozaik, a także krytyk literacki, autor ponad dwudziestu tomów poezji, laureat wielu prestiżowych nagród (w tym trzykrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego), związany z redakcjami lubuskich pism literackich. Przez lata dał się poznać i zapamiętać jako autor przenikliwych diagnoz, stawianych na gruncie, здаwać by się mogło, od niechcenia prowadzonej obserwacji.

Anna Dominiak

Cenię spokojny, niekrzykliwy nurt jego prozy („Rzeka powrotna”, 2013), w której zapisuje swoje arcyelne, choć niearbitralnie formułowane spostrzeżenia. W poezji uwiadamia często dążenie do przeniknięcia realnego wymiaru rzeczy, a opisy stanowią zazwyczaj asumpt do próby dotknięcia tego, co kryje maska rzeczywistości. Wiele takich obrazów spotykamy w obszernym zbiorze „Światło przed nocą”, który przesiąknięty jest czułością do zwyczajności i wrażliwością na ukryte często piękno codzienności.

Ostatni tom zdaje się jednak zaświadczać o pewnym przełomie, który się w tej poezji dokonał. „Nie był dla poety ten rok” – taka konkluzja otwiera najnowszy, wydany w krakowskiej oficynie zbiór pt. „Kilka wierszy”. Czytam to zdanie jako introdukcję, a jednocześnie klucz do zrozumienia zawartości tomu. Poeta w tych tekstach odchodzi od tak dla niego charakterystycznej, mocno obecnej w poprzednich książkach afirmacji życia. Zapisane nastroje można, rzecz jasna, pojmować jako naturalną konsekwencję zmiany postawy podmiotu, a także odważną próbę nazwania po imieniu własnych rozczarowań. Ironia i refleksja wzięły tu górę nad wcześniejszymi zachwyty. Bohater Sobkowiaka uświadamia sobie, że życie jest tym, czym jest, i nie będzie niczym więcej. Tu już nie ma eksplorowania widzialnego poziomu bytu w poszukiwaniu zadziwiającej złożono-

ści kosmosu, wpatrywania się w linię horyzontu, za którą kryć się może poszukiwane światło. Kosmos okazał się bowiem mniej zadziwiający, niż można było przypuszczać. Pokładane w losie nadzieje nie przyniosły niczego, czego podmiot oczekiwał. Uporczywa wiara w piękno i dobro zawiodła, dlatego poeta, pogodzony z tym, przyjmuje ostatecznie ponurą perspektywę:

*Kiedyś czyli wcześniej niż później
Wszystkie znaki odciski i ślady
(...)
Pokaże przychylna do lustra wody twarz
Złożona w dłonie i jednak samotna*

Adorowana w poprzednich tomach zwyczajność konkretnego jet tu elementem drugorzędym, a epifanijne refreń, które tak wyraźnie wybrzmiewały w nagrodzonym Wawrzynie tomi „Światło przed nocą”, ucichły.

Dystans i nieufność wobec świata współpracują z językowo – konstrukcyjną stroną tekstów. Poeta staje się w tym zbiorze bardziej enigmatyczny, swoje obserwacje ujmuje w formy naznaczone kondensacją i dyscypliną. Wyraźnie rezygnuje z ornamentyki typowej dla klasycznego liryzmu. Mniej tu leksykalnego rozmachu, więcej wnikliwości i rzeczowego skupienia. O końcu złudzeń nie mówi jednak z emfaticznym smutkiem, raczej ze stoicką apatią oswaja opuszczone miejsca, w których pozostały tylko wspomnienia dotyków i zapachów, a o puste ściany odbija się cisza. Nie ma tu już delectowania się wschodami słońca, bo wytęsknione poranki zdają się coraz częściej tonąć w mroku. Pyta więc:

*(...) czy można
Bez wdawania się w szczegóły
Porankiem nazwać ciemność
W której ostatnio coraz więcej
Światła doznaje zaprzeczenia*

W swoim zbiorze zamieszcza spostrzeżenia o świecie, którym rządzi miękkość, a hałaśliwe dni biegną donikąd. Jednak unika jednoznacznych konkluzji, kontestacja rzeczywistości nie ma formy dramatycznie wyrażonego sprzeciwu, jest raczej cichą skargą:

*Nie bój się życia
Nie ma dla ciebie
Nowych wiadomości*

Rezygnacja z nadziei jest tu na pewno jedną z mocniej wyartykułowanych postaw. Świat, który relatywizuje wartości, w którym „błędy nieco inaczej udekorowane można pomylić z zaletami”, trudny jest przecież do przyjęcia. Poeta upomina się tu o tych, których wyrzucono za burzę, bo ich istnienie było za mało efektowne, a swoje prawdy ogłaszali zbyt nieśmiało; tęskni za czasem zwyczajnych barów, które przeminęły jak nadzieja na to, że życie jednak okaże się dobre. „Gdzie są ludzie prawdziwi i co robią” – dramatycznie pyta („W tym barze”).

Niknącego piękna życia, resztek jego blasku zdaje się nadal upatrywać w sacrum

natury, niespiesznych rozmowach, wspomnieniach dzieciństwa. Reminiscencje nie są jednak tak częste, jak bywało to we wcześniejszych zbiorach. A nawet jeśli się pojawiają, to wydobywają czarne karty życia. Przeszłość przestaje być idealizowana.

Bez wątpienia jeszcze tylko:

*Ciało kobiety
Rozświetla wszelkie
Ciemności*

Ten mocno obecny, choć przejawiany z dyskrecją (nie tylko w poezji, ale także w prozie), pierwiastek zmysłowego piękna kobiety, który często jawi się jako uszczęśliwiający, bywa, że ewokuje bezdenną rozpacz („uśmiech kobiety zgasł / piosenką komu innemu”).

Nie ma już tych, których zastanowić by mogło, „do jakich krawędzi podążają zwykłe dni”.

Zapisuje więc poeta doświadczanie świata, który wyparł ze świadomości śmierć, który z cynizmem traktuje każdą głębszą myśl, a natchnienie posaża o pozę. Trudno jednak, co z nieśmiałością wyznaje, zaprzeczyć pragnieniu czułości, na którą można czekać choćby wieczność.

W jednym z wierszy pojawia się cykliczna koncepcja czasu, a w niej przeplatane są kadry przeszłości z komplikacjami, które nastąpiły później, a które przyjęte zostały z godnością i pokorą. Dramatycznie wydobywa tu poeta kontrast między tym, co było a tym, co nieuchronnie przyniosła przyszłość:

*Wołam po imieniu psa
Którego przyjdzie mi utracić
Ojciec pracuje żeby chleb
Był na stole ale złożony chorobą
Leży na twardej ławce (...)*

Można odnieść wrażenie, że zwerbalizowany w tym tomie pesymizm wzbierał w poecie, który odkrył, że zarówno miłość, jak i śmierć, powszechnie ukazywane jako opozycje, są jednakowo głuche i nie odpowiadają na żadne pytania („Całe życie”).

Choć „rzeczy, sny i blaski się rozpadają”, nie należy zadawać sobie bólu, stawiając niepotrzebne pytania. Może lepiej pozostać w dialogu tylko z sobą? Pochylenie karku i czoła uszlachetniło i przygotowało do przyjęcia i tej prawdy. To moment, jak mówi poeta, „z kategorii ciężkich”, ale nic z tym nie można zrobić. Cierpienie jest jak ciało obce, które z czasem staje się naszym własnym. Najbardziej dramatycznym jest chyba jednak uprzytomnienie, że dotychczas doświadczane piękno świata przestaje mieć życiodajną moc i nie zrównoważy już narastającego bólu („Mleczyć”).

Swoje rozgoryczenie zamyka poeta obserwacją „głupawych mężczyzn o zasobnych portfelach i kobiet udających piękno”. Niestety, należy pogodzić się także z tym, że w tym świecie szlachetne twarze i rozumiejące oczy muszą „milczeć w służebnym ukłonie”.

Czesław Sobkowiak, „Kilka wierszy”, Kraków 2016, 54 s.